

The background of the book cover is a photograph of a sky filled with soft, white clouds. In the bottom right corner, the dark, textured roof of a building is visible, sloping upwards towards the center.

Szkice historyczne

powieść

Zbigniew Kruszyński

Zbigniew Kruszyński

SZKICE HISTORYCZNE
POWIEŚĆ

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2020

Copyright © Zbigniew Kruszyński 1996
Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020
Okładka: Marek Chołoniewski
ISBN: 978-83-66719-02-6

ROZDZIAŁ I

Konspiracja chcąc nie chcąc pachniała mu ciastem. Wysokim słodkim ciastem, przepis pani domu. Mocna świeża herbata, poparzony język na chwilę tracił czucie — trzymać za zębami. — Cukier? Uwaga, opanować drzenie, pewną ręką go donieść nad brzeg filizanki. Prościej byłoby w kostkach — pomyślał, przechodząc codziennie ponawianą torturę sypania.

Na chwilę przepraszała, znikła w pokoju. Dwie, trzy niegrube, niegroźne koperty (prokurator, podnosząc je triumfalnie w palcach: starannie zgromadzony materiał dowodowy).

Dopijali herbatę, mówiąc o czym innym. Trzęsienie ziemi w Indiach. List od Es Te. Piłka — uderzała rytmicznie o furtkę sąsiada. Gdzieś przejechał samochód, nie do nich, nie po nich. Mucha między szybami, brzęczy, bo nie siada.

Wyjechał D., podobno aż do Australii, w kolejce do mięsnego puste miejsce: żona nie zdążyła wykupić już ostatniej kartki, łopatka i na rosół, solidarnie dzielonej teraz między sąsiadki, zamiast pożegnania.

Okradli E., to w ramach spadku przestępczości. Nocą, kiedy przypadał jego dyżur w pracy. Wiedzieli, że nie przyjdzie, przetrząsnęli wszystko. Pieniądze, tak, i znaczki.

— Chciałby pan odzyskać te rzeczy, tak, rozumiem — rano ktoś z milicji zadzwonił, przepraszając, że się nie przedstawia. — Chodzi tylko o jedno — pan je zna — nazwisko.

Listonosz, ten państwowy, zadzwonił do furtki. Pozdrowienia. Uściski. Skargi na pogodę. Podłużny stempel „ocenzurowano”, na miejscu datownika, w górnym prawym rogu przykazywał decorum, miarę klasycyzmu, przez pomyłkę przybity na kwiecie za wodę.

O kierowniczej roli podsądnego świadczy notatka (karta jedenaście) sporządzona przez niego własnoręcznym pismem, bez daty, ale jak wynika z zeznań świadka, między czternastym a szesnastym lipca.

Dziękuję za herbatę, będzie się już zbierał. Do wtorku, tak jak zwykle, chyba że coś wcześniej. (Czas by już zmienić adres, tylko skąd wziąć nowy). Kot zajął na fotelu jego — ciepłe — miejsce.

Przestępcze działania (karty... gruba talia) składały się na ogół z drobnych ruchów, poszlak. Odebrać klucze. Oddać klucze. Kupić coś do jedzenia. Papierosy, z filtrem. Sprawdzić nowe mieszkanie, sąsiedzi, podsłuchy. Czy w piwnicy przypadkiem nie gości drukarnia. (Po przeszło roku to płytkie podziemie przypominało raczej złożę odkrywkowe: bezradna gorączkowa biegania mrówek pod uniesionym na ścieżce kamieniem). Dwa krótkie dzwonki, potem jeden długi. Skomplikowana symfonia sygnałów. Okupacyjne doniczki na oknach, usychające od upału kwiatki. Nici, ciągle wtykane pod framugę drzwi, jakby w ten sposób można je uszczelnić. Bezpieczeństwo, nici.

Dwa razy już zatoczył krąg najbliższych znajomych. I znajomych znajomych, kuzynów kuzynów. Wystawiał ich na próbę, zwał się na głowę. Bledli. I nie mogli uwierzyć. I nie będą ukrywać, że to nie na rękę. Przeciwnie, to na rękę, żeby ukrywali — zadzierzgnął się supełek wykrętnych wyrażen.

— Tak ciasno i sąsiedzi, wścibscy, spostrzegawczy.

— Wakacje? Tak, nie pomyśleli jakoś o wakacjach.

Aż wreszcie ktoś się zgadzał, wyjeżdżał, bezsenny, i z duszą na ramieniu, a kulą u nogi.

Musieli ich namierzyć, od dawna. Czekali. Ten fiat, nikt nie dostrzegł, że zmieniał kierowcę. Fiat lux, po niewczasie, kiedy światło gaśnie. Czekali. Notowali. Pijak drzemał na ławce, mamrotał do butelki (karta dwadzieścia osiem: obserwacja, teren). W czerwonych kamizelkach, sumienni robotnicy przez tydzień się zmagali z niepokniętą rurą. Nikogo nie zdziwiło: nie zamknęli wody. Kominiarz strzegł ich z dachu, a z piwnicy palacz, który w środku lata zatęsknił do pieca. Gdzieś po przeciwnej stronie, w pasiaku żaluzji, ornitolodzy

psuli sobie wzrok. Słońce im nakrapiało spracowane czoła: upierzenie plamiste, kwiczoł albo drozd. I nawet tramwaj, z tyłu, za ogrodem zataczał na nich swoją pętlę: sak.

Czy coś zaniedbał? Po raz pięćdziesiąty analizował ruchy, jak badacz owadów. Czułki i pancerz, i odnóża tnące. Nie, wszystko się zgadzało, Bóg świadkiem (odmówił zeznań, na karcie siedemdziesiąt siedem). Dziurawa, robaczywa entomologia.

Pomyślał o kościele, zakonnikach z -owej. Pod stałą obserwacją, nieco utrudnioną rozgałęzionym terenem klasztoru, który wypełniał wielki kwartał ulic. Jakby nie dość im było oka Opatrzności. Ale klasztor już dawno zostawili za sobą, rubasznego przeora, mszalne wino, ciszę. Teraz podsyłał tylko ziemskie już pokarmy: rampa przeładunkowa, zakrystia-magazyn. Pasztesy z wątróbek i pasty do zębów. Ogromne butle szamponu do włosów, urągowisko wstępujących łysin. Gąsior oleju, chyba na podpałkę (niech podtrzymują w sobie święty ogień). Wielkie zdradliwe puszkę na konserwy, gdzie zamiast obiecanych przysmaków z Prowansji znajdowali niesmaczny, czarny, niejadalny, jątrzący i mogący wywołać rozruchy (karta dziewięć, przez kalkę, dochodzenie w toku), smoliście artykułowany jad farby drukarskiej. Wtedy kładli się głodni, z zemsty układając zbiorowy tom oświadczeń, sonety o brzasku.

Błogosławieni mnisi, albowiem to oni stawiali się królestwem niebieskiego. Milicja schodziła tłumnie na rekolekcje, co miesiąc, i wówczas pogańskie podmiejskie dzielnice jawiły im się chwilowo przejezdne, niegroźne. Zwykle wtedy zmieniali tymczasowy adres, nawet jeżeli trzynastego wypadało w piątek.

Kościół odpadał, nie był żadnym tropem. (Tu sam udzielał sobie rozgrzeszenia). Uczelnia? — teraz przechodzimy na pozycje świeckie.

Uniwersytet, królestwo fiszek. Zgubny zwyczaj cytatów (miejsce, strona, data), dokładnych, zbyt dokładnych, adresów wydawniczych. Poglądził dostarczone mu do wglądu akta, wydobyte z archiwum cimelium, starodruk.

Wszechnica, szturchanie struktur. Spory uczonych o to, gdzie się kończy cytat. Fauna docentów, płatanina zeznań, kolokwialne wtrącenia studentów nad skryptem. Dialog, polifoniczność, już nie to co klasztor (po co było odbierać szkoły jezuitom). Infiltracja, melioracja. Tyle wody, nie mogło im przecież wszystko uść na sucho.

Jakiś czas trzymali się z dala od uczelni, a zaproszone kawą, na nocnym stoliku coraz wyżej piętrzyły się opracowania, naukowe rozprawy, z reżimem, odczyty, nadsyłane obficie przez uniwersytet, który mimo strzelistej wieży rektoratu nieodwołalnie schodził do katakumb. Gleboznawcy kopali, zacierali ręce, uwalane po łokcie, sypiąc piaskiem w oczy oślepył astronomom, którzy — w ciemnej nocy — zostali na dokładkę zepchnięci do cienia. Porzucone kariery, załamania kierunków, wszyscy zaczęli zgłębiać dzieje filomatów. Wszyscy kto?

Nigdy nie kontaktował się prosto z uczelnią. Przychodzili pośrednicy, i pośrednicy pośredników. Może ten jeden raz, kiedy mechanizm szczęknął, a trzeba było pilnie wysłać dokumenty.

Dotarł do niej wieczorem, późnym, prawie nocą. Najwyraźniej nie w porę, w trakcie toalety, bo zdążyła już zetrzeć tusz z jednego oka. Nie spodziewała się, nie, wcale, nie szkodzi, ale skądże, głupstwo, tędy proszę. Nie sądziła, bałagan, naczynia nie umyte, czajnik, herbata, kawa, tak, eliksir powitań. Pociąg o czwartej rano, to raptem parę godzin. Leżeli, już ubrani, czuwając nad budzikiem.

Najgorsze były zebrania. Konferencje, złoty. Wąskie biurko pod oknem, jako stół prezydialny. Długie głośnie dyskusje, obchodzenie rocznic. Dym tak gęsty, że gasną nawet papierosy. Urządzano je często pod osłoną imienin. Ewy — i całe miasto zamienia się w festyn. Lekko spóźnieni goście przyspieszają kroku. Solenizanci przyjmują życzenia. Studiował w pamięci listę uczestników, omiatając ich teraz cieniem podejrzenia.

Mylne tropy, rwące się już na pierwszym skrzyżowaniu. Alarmy, które wyją przy lekkim podmuchu. Ciężkostrawne notatki, stały im w gardle, kiedy do drzwi stukali świadkowie Jehowy. Nerwica przeprowadzek, zmiany tożsamości, trudne do ustalenia daty urodzenia. Przypadkowe imiona przyszywanych rodziców, jabłko, które upada z dala od jabłoni.

— W momencie zatrzymania oskarżony okazał dokument (załącznik osiem, dopięty spinaczem), na nazwisko osoby zmarłej, szanowanej, która, jak można mniemać, przewraca się w grobie.

Ostatnio imieniny wyprawiali częściej, czyżby chcieli fetować także pseudonimy? W wynajętych lokalach, goście docierali już po długim kluczeniu, z więdnącym bukietem, przepraszając, spóźnieni o — ktoś mógł przewidzieć — dobre pół, dobrą całą, acz czarną godzinę.

— Jak wykazało śledztwo, wszyscy zatrzymani przybyli do lokalu celem zgromadzenia, nielegalnego w świetle paragrafu dwadzieścia siedem, ustęp jeden-cztery. Podane przez obronę mętne wyjaśnienia nie zasługują zupełnie na wiarę, już choćby z tego względu — dowód z kalendarza — że nikt ze zgromadzonych, nawet z bierzmowania, nie nosił potrzebnego tu imienia Eryk.

Wiele razy błyskała możliwość ucieczki. Otwarte okno, parter, w pokoju przesłuchań. Muślinowa firanka w posuniętej ciąży, od nowa zapładniana rozbuchanym wiatrem. Trawnik, ulica, tramwaj, zbawienny gąszcz sklepów. Czuł, jak mu z wolna ołowieją nogi, jakby iść z kieszeniami pełnymi kamienia. Jeszcze bardziej ciążyła śmieszność, wstyd ucieczki. Ścigające go długo, mimo że nie uciekł, rozbawione spojrzenia, rzucane w ślad za nim.